

Przed wieczorem wysłali trzech z opuszczonymi automatami i białą kokardą.

Wołali, żeby zawiesić broń, to nas odesłał do specjalnego obozu. Myśmy ich ostrzelali – w raportach Stroopa znalazłem potem tę scenę: oni, parlamentariusze, z białą chorągwią, a my, bandyci, otwieramy ogień. Zresztą nie trafiliśmy ich, ale to nieważne.

– Jak to – nieważne?

– Ważne było przecież to, że się strzela. To trzeba było pokazać. Nie Niemcom. Oni to potrafili lepiej. Temu innemu światu, który nie był niemieckim światem, musieliśmy pokazać. Ludzie zawsze uważali, że strzelanie jest największym bohaterstwem. No to żeśmy strzelali. [7]

– Dlaczego właśnie Anielewicz był komendantem?

– Bardzo chciał nim być, więc go wybraliśmy. Był w tej ambicji trochę dziecinny, ale to zdolny chłopak, odcytany, pełen wigoru. Przed wojną mieszkał na Solcu. Jego matka sprzedawała ryby, jak zostawały, to kazała mu kupować czerwoną farbę i farbować skrzela, żeby wyglądały jak świeże. Był stale głodny. Kiedy przyjechał z Zagłębia do nas i daliśmy mu jeść, zasłaniał talerz ręką, żeby mu nie zabrano. [...]

Dziewiętnastego kwietnia nie spotkaliśmy się. Zobaczyłem go nazajutrz. Był to już inny człowiek. Celina powiedziała mi: “Wiesz, to stało się z nim wczoraj. Siedział, powtarzał: zginie wszyscy...” [...]

Ósmego maja, na Miłej, zastrzelił najpierw ją, potem siebie. Jurek Wilner krzyknął: “Zginiemy razem”, Lutek Rotblat zastrzelił swoją matkę i siostrę, potem już wszyscy zaczęli strzelać, kiedy żeśmy się przedarli tam, znaleźliśmy kilku żywych, osiemdziesięciu popełniło samobójstwo. “Tak właśnie powinno się było stać” – powiedziano nam potem. “Zginął naród, zginęli jego żołnierze. Symboliczna śmierć”. Tobie też pewnie takie symbole się podobają? [...]

– Miałeś czterdziestu żołnierzy. Nie przyszło wam nigdy na myśl, żeby zrobić to samo?

– Nigdy. Tego nie należało robić. Mimo że to bardzo dobry symbol. Nie poświęca się życia dla symboli. Nie miałem w tej sprawie wątpliwości. W każdym razie – przez dwadzieścia dni. Potrafiłem sam dać w mordę, jak ktoś zaczął mi histeryzować. W ogóle wiele rzeczy potrafiłem wtedy. Stracić pięciu ludzi w walce i nie czuć wyrzutów sumienia. Położyć się spać, kiedy Niemcy drażyli dziury, żeby wysadzić nas w powietrze - wiedziałem po prostu, że my nie mamy tu nic do roboty. Dopiero jak poszli na obiad o dwunastej – myśmy szybko zrobili co trzeba, żeby się przedrzeć. (Nie denerwowałem się - pewnie dlatego, że właściwie nic nie mogło się zdarzyć. Nic większego niż śmierć, zawsze chodziło przecież o śmierć, nigdy o życie. Być może tam wcale nie było dramatu. Dramat jest wtedy, kiedy możesz podjąć jakąś decyzję, kiedy coś zależy od ciebie, a tam wszystko było z góry przesądzone. Teraz, w szpitalu, chodzi o życie – i za każdym razem muszę podejmować decyzję. Teraz się denerwuję znacznie bardziej.) [8-11]

– Czy zza muru widać było coś po aryjskiej stronie?

– Tak. Mur sięgał tylko pierwszego piętra. Już z drugiego widziało się Tamtą ulicę. Widzieliśmy karuzelę, ludzi, słyszeliśmy muzykę i strasznie żeśmy się bali, że ta muzyka zagłuszy nas i ci ludzie niczego nie zauważą, że w ogóle nikt na świecie nie zauważy - nas, walki, poległych... Że ten mur jest tak wielki – i nic, żadna wieść nigdy się o nas nie przedostanie. [11]

Zygmunt wrócił do getta, napisaliśmy o wszystkim w naszej gazetce – i nie uwierzyli. “Oszaleliście?” – mówili, kiedy próbowaliśmy ich przekonać, że to nie do pracy ich wiozą. “Posłano by nas na śmierć z chlebem? Tyle chleba zmarnowaliby?!”

Akcja trwała od dwudziestego drugiego lipca do ósmego września 1942, sześć tygodni. Przez te sześć tygodni stałem przy bramie. Tu, w tym miejscu. Odprowadziłem czterysta tysięcy ludzi na ten plac. [...]

Jeden tylko człowiek mógł powiedzieć głośno prawdę: Czerniaków. Jemu uwierzyliby. Ale on popełnił samobójstwo.

To nie było w porządku: należało umrzeć z fajerwerkiem. Wtedy ten fajerwerk był bardzo potrzebny – należało umrzeć, wezwawszy przedtem ludzi do walki.

Właściwie tylko o to mamy do niego pretensję.

– “My”?

– Ja i moi przyjaciele. Ci nieżyjący. O to, że uczynił swoją śmierć własną, prywatną sprawą.

My wiedzieliśmy, że trzeba umierać publicznie, na oczach świata. [...]

Większość była za powstaniem. Przecież ludzkość umówiła się, że umieranie z bronią jest piękniejsze niż bez broni. Więc podporządkowaliśmy się tej umowie. Było nas wtedy w ŻOB-ie już tylko dwustu dwudziestu. Czy to w ogóle można nazwać powstaniem? Chodziło przecież o to, żeby się nie dać zarznąć, kiedy po nas z kolei przyszli.

Chodziło tylko o wybór sposobu umierania. [13-15]

Bowiem okazało się, że on nie mówił tak, jak należy mówić.

“A jak należy mówić?” – zapytał.

Należy mówić z nienawiścią, patosem, krzycząc – nie ma innych sposobów wyrażenia tego wszystkiego niż krzyk.

Więc on się od razu nie nadawał do mówienia, bo nie umiał krzyczeć. Nie nadawał się też na bohatera, bo nie było w nim patosu.

Cóż to za prawdziwy pech.

Ten jedyny, który przeżył, nie nadaje się na bohatera. [20-21]

Pokazywali dziś w telewizji Krystynę Krahełską. Też miała jasne włosy. Pozowała Nitschowej do pomnika Syreny, pisała wiersze, śpiewała dumki i zginęła w warszawskim powstaniu wśród słoneczników. [...]

Był więc ciepły, sierpniowy dzień. Ona upięła sobie z tyłu te długie jasne włosy. Napisała “Hej, chłopcy, bagnet na broń”, opatrzyła rannego, a teraz biegnie w słońcu.

Cóż to za piękne życie i piękna śmierć. Prawdziwie estetyczna śmierć. Tylko tak należy umierać. Ale tak żyją i umierają piękni i jaśni ludzie. Czarni i brzydacy żyją i umierają nieefektywnie: w strachu i ciemności. [21-22]

Czarni i brzydacy leżą osłabli z głodu w wilgotnej pościeli i czekają, aż ktoś przyniesie im owies na wodzie albo coś ze śmietnika. Wszystko jest tam szare – twarze, włosy, pościel. Oszczędnie palą karbidówkę. Ich dzieci wyrrywają na ulicy przechodniom paczki z rąk w nadziei, że tam jest chleb, i natychmiast wszystko pożerają. W szpitalu dają spuchniętym z głodu dzieciom po pół jajka w proszku i po pastylce cebionu dziennie - to już dzielą lekarze, bo nie można narażać salowej, która też jest spuchnięta, na mękę dzielenia. [22-23]

Śmierć z głodu była równie nieestetyczna jak życie. “Niektórzy zasypiają na ulicy z kęsem chleba w ustach lub w czasie próby wysiłku fizycznego, na przykład w czasie biegu za zdobyciem chleba”.

To jest fragment pracy naukowej.

Lekarze w getcie prowadzili badania nad głodem, bowiem mechanizm śmierci głodowej był wtedy dla medycyny niejasny i należało wykorzystać nadarzającą się szansę. Szansa była wyjątkowa: “Jeszcze nigdy – pisali – medycyna nie dysponowała tak obfitym materiałem badawczym”. [24]

(Może nazbyt szczegółowo mówimy o tym i za długo, ale to dlatego, że koniecznie trzeba zrozumieć, jaka jest różnica między pięknym życiem a życiem nieestetycznym i między piękną a nieestetyczną śmiercią. To jest ważne. Wszystko, co nastąpiło później - co nastąpiło dziewiętnastego kwietnia 1943 roku – było przecież tęsknotą za pięknym umieraniem.) [26]

– Słuchaj – mówię – a czy nie dlatego tak łatwo decydujesz się na takie rzeczy, bo jesteś oswojony ze śmiercią...? Bo jesteś z nią o wiele bardziej oswojony niż na przykład Profesor?

– Nie – mówi. – Mam nadzieję, że nie dlatego. Tylko – kiedy się dobrze zna śmierć, to ma się większą odpowiedzialność za życie. Każda, najmniejsza nawet szansa życia staje się bardzo ważna. [42]

Moje dziecko – mówi – musisz to wreszcie zrozumieć: ci ludzie szli spokojnie i godnie. To jest straszna rzecz, kiedy się idzie tak spokojnie na śmierć. To jest znacznie trudniejsze od strzelania. Przecież o wiele łatwiej się umiera strzelając, o wiele łatwiej było umierać nam niż człowiekowi, który idzie do wagonu, a potem jedzie wagonem, a potem kopie sobie dół, a potem rozbiera się do naga... Już to rozumiesz? – pyta. [46]

– Widziałem kiedyś na Żelaznej zbiegowisko. Ludzie tłoczyli się na ulicy dookoła beczki – zwyczajnej drewnianej beczki, na której stał Żyd. Był stary, niski i miał długą brodę.

Przy nim stało dwóch niemieckich oficerów. (Dwóch pięknych, rosnących mężczyzn przy małym, zgarbionym Żydzie.) I ci Niemcy wielkimi krawieckimi nożycami obcinali Żydowi po kawałeczku jego długą brodę, zaśmiewając się do rozpuku.

Tłum, który ich otaczał, też się śmiał. Bo obiektywnie byto to naprawdę śmieszne: mały człowieczek na drewnianej beczce z coraz krótszą brodą, ginącą pod krawieckimi nożycami. Jak gag filmowy.

Nie było jeszcze getta, więc w tej scenie nie czuło się grozy. Z Żydem przecież nic straszniejszego się nie działo: tyle że można go było bezkarnie na tej beczce postawić, że ludzie zaczęli już rozumieć, że to jest bezkarnie i że budził śmiech.

Wiesz co?

Wtedy zrozumiałem, że najważniejsze ze wszystkiego jest nie dać wepchnąć się na beczkę. Nigdy, przez nikogo. Rozumiesz?

Wszystko, co robiłem potem – robiłem dlatego, żeby nie dać się wepchnąć. [46-47]

– Nie wiem, czy powinniśmy o tym pisać. Anonimowe żółte kwiaty... Tandetna literatura. Ciebie w ogóle trzymają się kiczowate historie. Te prostytutki na przykład, które dawały ci dzień w dzień bułkę. Czy zresztą wypada pisać, że w getcie były prostytutki?

– Nie wiem. Pewnie nie. W getcie powinni być męczennicy i Joanny d'Arc, prawda? Ale jak chcesz wiedzieć, to w bunkrze na Miłej z grupą Anielewicza było kilka prostytutek i nawet jeden alfons. [49]

O Korczaku wiedzą wszyscy, prawda? Korczak był bohaterem, bo poszedł z dziećmi dobrowolnie na śmierć.

A Pola Lifszyc – która poszła ze swoją matką? Kto wie o Poli Lifszyc? [55]

– Straciliśmy wąż przy reflektorze. Choć, prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle istnieje tu jakiś wąż.

– To niedobrze?

– Dlaczego? Dobrze. Przecież nie piszemy historii. Piszemy o pamiętaniu. Ale niech będzie ten reflektor: Zygmunt go zgasił – szybko przebiegliście... Czekaj, a co z dzieckiem Zygmunta, które było w Zamościu w klasztorze? [82]

– Wszystkie historie o ludziach, które opowiadasz – prawie wszystkie – kończą się śmiercią.

– Tak? Bo to są tamte historie. Te, które ci opowiadam o pacjentach, kończą się przecież życiem. [...]

Zauważyłeś jak często powtarza się w opowiadaniach o getcie ten motyw: szansy wyjścia i decyzji zostania? Korczak, Gepner, wy... Może dlatego, że dokonanie wyboru między życiem a śmiercią jest ostatnią szansą zachowania godności... [83-84]

Nad grobami Michała Klepfisza, Abraszy Bluma i tych z Zielonki – stoi pomnik. Wyprostowany mężczyzna z kabinem w jednej i granatem w drugiej, wzniesionej ręce, u pasa ma ładownicę, u boku torbę z mapami, a przez pierś rzemień. Żaden z nich nigdy tak nie wyglądał, nie mieli karabinów, ładownic ani map, poza tym byli czarni i brudni, ale na pomniku jest tak, jak pewnie być powinno. Na pomniku jest jasno i pięknie. [92-93]

– Dlaczego zostałeś lekarzem?

– Bo musiałem nadal robić to, co wtedy robiłem. Co robiłem w getcie. W getcie za czterdzieści tysięcy ludzi – tyłu było w kwietniu 1943 roku – podjęliśmy decyzję. Postanowiliśmy, że nie pójdą dobrowolnie na śmierć. Jako lekarz mogłem odpowiadać za życie przynajmniej jednego człowieka – więc zostałem lekarzem. [97]

– Wiesz, w klinice, w której potem pracowałem, była taka wielka palma. Stawałem czasem pod nią – i widziałem sale, na których leżeli moi pacjenci. To były dawne czasy, kiedy nie mieliśmy dzisiejszych lekarstw ani zabiegów, ani aparatów, i większość ludzi w tych moich salach skazana była na śmierć. Moje zadanie polegało na tym, żeby możliwie najwięcej spośród nich ocalić – i uprzytomniłem sobie kiedyś pod tą palmą, że właściwie to jest to samo zadanie, co tam. Na Umschlagplatzu. Wtedy też stałem przy bramie i wyciągałem jednostki z tłumu skazanych.

– I tak stoisz przy tej bramie przez całe życie?

– Właściwie tak. A kiedy nic już nie mogę zrobić – to pozostaje mi jedno: zapewnić im komfortową śmierć. Żeby nie wiedzieli, nie cierpieli, nie bali się. Żeby się nie ponizali. Trzeba dać im taki sposób umierania, żeby nie zamienili się w Tamtych. W tych z trzeciego piętra na Umschlagplatzu.

– Mówiono mi, że kiedy leczysz przypadki banalne i niegroźne – robisz to niejako z obowiązku, ożywasz się prawdziwie, dopiero kiedy zaczyna się gra. Kiedy zaczyna się wyścig ze śmiercią.

– Na tym polega przecież moja rola.

Pan Bóg już chce zgasić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył.

To jest ważne: On nie jest za bardzo sprawiedliwy. To jest również przyjemne, bo jeżeli się coś uda – to bądź co bądź Jego wywiodło się w pole...

– Wyścig z Panem Bogiem? Cóż to za pycha!

– Wiesz, kiedy człowiek odprowadza innych ludzi do wagonów, to może mieć z Nim później parę spraw do załatwienia. A wszyscy przechodzili koło mnie, bo stałem przy bramie od pierwszego do ostatniego dnia. Wszyscy, czterysta tysięcy ludzi przeszło koło mnie. [101-102]

Czy nie najwyższy już czas na odrobinę porządku? Ludzie przecież będą oczekiwać od nas jakichś liczb, dat, danych o ilości wojsk i stanie uzbrojenia. Ludzie są bardzo przywiązani do powagi faktów historycznych i do chronologii.

Na przykład: powstańców jest 220, Niemców – 2090.

Niemcy mają lotnictwo, artylerię, pojazdy pancerne, miotacze min, 82 karabiny maszynowe, 135 pistoletów maszynowych i 1358 karabinów, na jednego powstańca (według relacji zastępcy, Komendanta powstania) przypada 1 rewolwer, 5 granatów i 5 butelek zapalających. Na każdy teren 3 karabiny. W całym getcie są dwie miny i jeden automatyczny pistolet.

Niemcy wkraczają 19 kwietnia o czwartej. Pierwsze walki: plac Muranowski, Zamenhofa, Gęsia. O drugiej po południu Niemcy się wycofują, nie wyprowadzwszy na Umschlagplatz ani jednego człowieka. (“Myśmy wtedy jeszcze uważali to za bardzo ważne, że tego dnia nikogo nie wywieźli. Uważaliśmy to nawet za zwycięstwo”.) [105]

W nocy przybiega chłopiec z krzykiem, że się pali. Wybucho panika...

Przepraszam. “Przybiega chłopiec z krzykiem...” to nie jest poważna historyczna relacja. Podobnie jak fakt, że w piwnicy po okrzyku chłopca kilka tysięcy ludzi zrywa się w panice, wzbija się piach, świece od tego gasną i chłopca trzeba szybko przywołać do porządku. To zanadto szczegółowe, jak na historię... Po chwili ludzie uspokajają się: widzą, że ktoś rządzi. (“Ludzie zawsze powinni myśleć, że ktoś tutaj rządzi”.) [108]

No i to jest właśnie chronologia wydarzeń.

Porządek historyczny okazuje się być tylko porządkiem umierania.

Historia powstaje po drugiej stronie murów, tam gdzie pisze się raporty, wysyła w świat meldunki radiowe i żąda się od świata pomocy. Każdy specjalista zna dzisiaj teksty depeusz i noty rządów. Ale kto wie o chłopcu, którego trzeba było zasypać, bo do piwnicy przedostawał się czad? Kto dzisiaj wie o chłopcu? [109-110]

Chodzi o Jurka Wilnera. Że wytrzymał tydzień, a nie miesiąc tortur na gestapo.

No, nie, chwileczkę. “Wacław” mówił o miesiącu, pan Grabowski – o dwóch tygodniach...

“Dokładnie pamiętam, że był tam tydzień”.

Zaczyna to być irytujące trochę.

Jeśli “Wacław” mówił, że miesiąc, to chyba wiedział, co mówi.

Bo i cóż się okazuje teraz? Że nam wszystkim bardzo zależy na tym, by Jurek Wilner jak najdłużej wytrzymał tortury na gestapo. To jednak jest duża różnica – milczeć przez tydzień czy przez miesiąc. Naprawdę, bardzo chcielibyśmy, żeby Jurek Wilner cały miesiąc milczał.

“No, dobrze – mówi – Antek chce, żeby nas było pięciuset, literat S. chce, żeby ryby farbowała matka, a wy chcecie, żeby siedział miesiąc. Więc niech będzie miesiąc, przecież to już nie ma żadnego znaczenia”.

To samo jest ze sztandarami. [126-127]

Chodzi więc jedynie o to, żeby osłonić płomień.

Ale On – jak mówiliśmy – obserwuje te wysiłki uważnie i potrafi tak przebiegle ugodzić, że jest na wszystko za późno [...] [136]

Tak więc – nigdy do końca nie wiesz, kto kogo podszedł. Czasami cieszysz się, że ci się udało, bo wszystko dokładnie sprawdziłeś i przygotowałeś, i przekonałeś ludzi, i wiesz, że już nic złego nie powinno się stać (...) albo człowiek umiera na stole operacyjnym, bo to był zawał okrzężny, który nie dał śladów w koronarografii ani w EKG. Pamiętasz więc dobrze o tych wybiegach, i nawet jak operacja kończy się pomyślnie – czekasz.

Nastąpią długie dni czekania, bo teraz się dopiero okaże, czy serce się przystosuje do sztukowanych kawałków żył, do nowych tętnic i do lekarstw. Potem stopniowo się uspokajasz, nabierasz pewności... I kiedy już to napięcie i ta radość całkiem z ciebie opadną – wtedy, dopiero wtedy uprzytamniasz sobie, jaka to jest proporcja: jeden do czterystu tysięcy.

1 / 400 000.

Po prostu śmieszne.

Ale każde życie stanowi dla każdego całe sto procent, więc może ma to jakiś sens. [137]